№ 20.

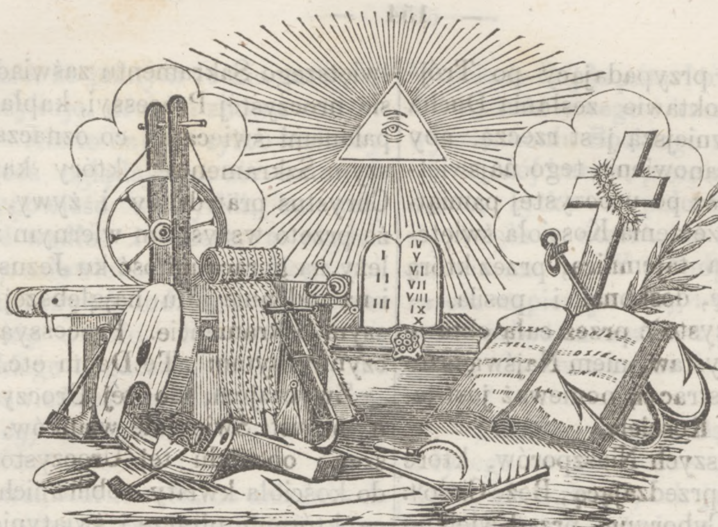
Warszawa.

Dnia 6 (18) Maja

1856.

Niedziela

Sw. TRÓJCY.



KANTOR GŁÓWNY
W DRUKARNI J. UNGER
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszaws. płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wszechmogący i wieczny Boże! który dałeś poznać sługom Twoim, za pomocą wiary, Chwałę Trójcy wiekuistéj, i w mocy Majestatu wychwalać jednego Boga, prosimy, abyśmy mocą téjże wiary, od wszelkich przeciwności zachowani byli. (Modlitwa kościelna na niedzielę 8 po Wielkiéj nocy).

Uroczystość Trójcy Przenajświętszéj.

Ponieważ każda Niedziela, poświęcona jest czci i uwielbianiu Trójcy Przenajświętszéj, (gdyż w Niedzielę rozpoczął Bóg Ojciec stworzenie — w Niedzielę zmartwychwstał Syn Boży — w Niedzielę zstąpił Duch święty na Apostołów): — ztąd długo w kościele bożym, nie było osobnego Swięta ku uczczeniu Trójcy Przenajświęszéj. — Lecz skoro, około IX stulecia, rozbudziło się szczególniejsze nabożeństwo w sercach Chrześcian ku téj najświętszéj tajemnicy; obchodzono więc to Święto, najpierw w niektórych katolickich krajach, a mianowicie we Francyi, zkąd rozszerzało się daléj, aż nareszcie około roku 1315, przez Papieża Jana XXII, w całym kościele zaprowadzone zostało.

Obchodzi się ta Uroczystość, zaraz w następną Niedzielę po Zielonych Świątkach; ponieważ tajemnica Trójcy przenajświętszéj, jest główną i naczelną nauką chrześciańskiéj religii, przez Apostołów po Zesłaniu Ducha świętego opowiadaną, a od narodów z wiarą przyjętą, według słów Zbawiciela: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je w Imię Ojca i Syna i Ducha świętego.“ (Mat. 28, 19).

Uroczystość Bożego Ciała.

Uroczystość Bożego Ciała, obchodzi się na pamiątkę ustanowienia Najświętszego Sakramentu ołtarza, dla oddania najgłębszéj czci Jezusowi Chrystusowi utajonemu w Najświętszym Sakramencie; tudzież, dla publicznego i otwartego wyznania naszéj wiary w tajemnicę tego Sakramentu.

Jakkolwiek ustanowienie Najświętszego Sakramentu ołtarza, odbyło się na ostatniéj wieczerzy pańskiéj, a tem samem w Wielki Czwartek najwłaściwiéj i najsolenniej obchodzoném być winno; przecież z przyczyny rozpamiętywania gorzkiéj męki Zbawiciela, odprawia się ta pamiątka w cichéj żałobie, natomiast we Czwartek po Uroczystości Trójcy Przenajświętszéj, jak najsolemniéj i najuroczyściéj.

Ustanowił tę Uroczystość, papież Urban IV

(1263 r.) we Czwartek, przypadający po Trójcy świętej, a zatem po oktawie zesłania Ducha świętego; bo najstosowniejszą jest rzeczą, aby stosownie do dnia ustanowienia tego najświętszego Sakramentu, zaraz po uroczystéj pamiątce utwierdzenia i rozszerzenia Koscioła świętego, obchodzoną była ta tajemnica, przez którą ten Kościół umacnia się, doskonali i posila. — Obchodzi się ta Uroczystość przez całą oktawę t. j. przez ośm dni z wystawieniem Najświętszego Sakramentu w Monstracyi; ponieważ jest jedną z najświętszych w Kościele.

Zacząwszy od pierwszych Nieszporów, które przypadają we Środę poprzedzającą „Boże Ciało": wystawia się ponad Cyboryum przed wielkim ołtarzem jeden lub trzy kielichy, co trwa przez całą oktawę; bo kielich, w którym się poświęca krew Pańska, jest godłem téj Uroczystości.

Jeden kielich, przedstawia wiernym, że jak Bóg jest jeden, tak wiara prawdziwa od Chrystusa objawiona, jest jedna i jeden prawdziwy Chrystus założył Kościół, który jest szafarzem Ciała i Krwi swojéj przenajświętszej.— Trzy kielichy, wyrażają trzy osoby w Bogu, z których druga stała się człowiekiem i dla naszego duchownego posiłku, zostawiła nam krew swą i ciało.

W samą Uroczystość „Bożego Ciała", odprawia się publiczna i uroczysta Processya po ulicach miasta i miejscach publicznych, gdzie pod gołem niebem do śpiewania Ewangelij, ubierają się ołtarze. Odbywa się zaś ta processya (od r. 1315), dla publicznego wyznania wiary naszéj o tym Najświętszym Sakramencie— na podziękowanie za wszystkie łaski, które przyjmując, lub odwiedzając ten Sakrament odbieramy,— dla przeproszenia za wszystkie zniewagi i bluźnierstwa, które przez cały rok odbiera Jezus Chrystus w najświętszym Sakramencie, nietylko od niedowiarków, ale i bezbożnych chrześcian; wreszcie dla otrzymania błogosławieństwa bożego tak ludziom pojedynczym, jak całym miastom i wioskom wielce potrzebnego. Ta processya po rynku lub ulicach miasta, przypomina nadto, jak Chrystus Pan obchodził niegdyś wsie, miasteczka i miasta, opowiadając ludziom swą boską naukę, i wiele łask szczególnych im świadcząc; dlatego, śpiewają się cztery Ewangelie, od których czterej Ewangeliści opisanie życia, nauki i czynów Jezusa Chrystusa zaczynają, a w których wszyscy ustanowienie tego najświętszego Sakramentu zaświadczają.— W czasie uroczystéj Processyi, kapłani i lud idą z zapalonemi świecami, co oznacza: że w Najświętszym Sakramencie, który kapłan niesie, jest Chrystus prawdziwy i żywy, światłość świata: że przeto wszystkim wiernym zdobywać się należy na gorącą miłość ku Jezusowi Chrystusowi i na oddanie Mu najgłębszéj czci w najświętszym Sakramencie. Processyą uzupełnia dziękczynny hymn: „Te Deum etc."

Zwyczajem, do téj Uroczystości przywiązanym, jest: Święcenie wianków.— Dla świetniejszego obchodu téj Uroczystości, znosili wierni do kościoła kwiaty, robili z nich girlandy i wieńce, któremi ołtarze i świątynie pańskie zdobili; co dało powód do obrania téj Uroczystości za najstosowniejszą porę, ku podziękowaniu Bogu, za przeznaczenie rozlicznych roślin do użytku ludzi i zwierząt, oraz ku uproszeniu Go: aby je pobłogosławił i w obfitości rozkrzewiać raczył. Kapłan, poświęcając wianki, prosi tedy Pana Boga: aby od tych, którzy wianeczki i pączki różnych ziół, z nabożnem sercem na óltarzu składają, wszelkie przeszkody do zbawienia oddalił, oraz z pączkami cnót i dobrych uczynków, do niebieskiej szczęśliwości kiedyś ich przyjął.— Tak poświęcone wianki, przechowuje lud w domach ze czcią, i używa ich w różnych potrzebach; osobliwie w czasie grzmotów i nawałnic, czyniąc z nich kadzenie.

Pogadanki starego rolnika. (1)

Oj! przednowek, to ciężka rzecz, da się on nie jednemu dobrze we znaki.— Jeszcze samemu, to fracha, bo w ostatku choćby przyszło ściągnąć sobie brzuch pasem, toby człek musiał wytrzymać, ale jak dzieci w domu zaczną skwirczeć i wyciągać ręczyny, a wszystko z głodu, a wszystko do chleba, a tu ani weź, wszędzie pustki i bieda, to człek choćby był kamień, musi posmutnieć, bo dla ojcowskiego serca płacz dziecka, to wiela znaczy.—Równie jednak przednowek nie dla wszystkich bywa jednaki, i gdy jedni dobrze się przede żniwy namrą głodu, drudzy ledwie, że go znają z gadki ludzkiéj, — co im nigdy na niczem nie zbywa.—Ludzie mówią,

(1) W téj i następnych pogadankach Rolnika, zachowuje się w rozmowach między włościanami, język ludowy.

że to tak ręką idzie, że jednym co ino zamyślą, to się wszystko szykuje, drugim znowu wszystko idzie wopak.— Ale to bajki, i tylko leniuchy, co się zawdy na coś oglądają, a nie na swoję pracę, taką przypowieść wymyślili, bo żeby świat cały przejść wzdłuż i wszerz, to nigdzie nie znajdzie, żeby człowiekowi, co się Boga boi, co niepragnący na krzywdę ludzką, pracowitemu i mądremu, źle się wiodło. Nie znajdzie się może u niego wielkiego bogactwa, ale i biedy nie będzie, bo Bóg powiedział: *módl się, pracuj rękami i głową, i żyj uczciwie, a Ja ci człowieku dopomogę.*

Otóż w jednéj wsi, Marusicach, co należała do jednego wielkiego pana, który na jakimciś znacznym urzędzie zawsze siedział w Warszawie, było coś ze dwudziestu gospodarzy rolnych. Dawniéj, kiedy jakoś lepiéj się rodziło, między gospodarzami temi nie było co prawda zbytku, ale i biedy nigdy nie zaznali, żyli uczciwie, pracowali jak mogli, chwalili Boga, i jakoś zawsze rok z rokiem schodził się szczęśliwie, że nigdy na chleb zapożyczać się nie potrzebowali u swego dziedzica, chociaż wiecie, że w każdéj potrzebie w każdym ucisku, naprzód człek udaje się do Boga, a potem do pana.

Ale kiedy na ziemniaki zaczęła padać zaraza, a role bez pól i mniéj jeszcze rodziły zboże, co rok to gorzéj było między owemi gospodarzami, każdy w długu siedział, i zaraz z wiosny aż do nowego cepa nie usłyszałeś w żadnéj stodole, bo ludowina jeszcze w zimie wszystko wymłócił i zjadł.— Markotno to było strasznie owym gospodarzom, i jeden tylko Janek Goździak wyłączał się od całéj gromady, bo u niego urodzaj zawsze bywał jednaki, i ze swego połanka zawsze dwa, albo i trzy razy więcéj zbierał, czy zboża, czy ziemniaków, jak drudzy jego sąsiedzi. To też z wiosną cepy z jego stodoły tylko się rozlegały po wsi całéj, a na chleb zboże stare zawsze przechowywał do nowego, żeby nie odrywać rąk od żniwa i siewu.

Otóż będzie temu lat kilka, kiedy po siewach wiosennych wielu gospodarzom w Marusicach już zabrakło chleba.— Poszli więc do dworu, i dwór zapomógł, ale dwóch zjadło zapomogę, a tu do żniwa jeszcze najmniéj ze dwa tygodnie. —Co tu więc robić? — Poskrobali się zatem frasobliwie w głowę, westchnęli, ale takie rzeczy dla brzucha, kiedy głodny, to nic nie znaczą, i nic nie pomoże, trzeba się o chleb starać.— Więc Wojciech Gajda potarł trochę czoła, i zaszedłszy do sąsiada swego i kuma Józka Bombały, po wyrzeknieniu Boskiego słowa, rzekł:

—„Mój kumie, pono w jednym frasunku chodziwa, żytko w polu jeszcze zielone, a to co się wzięło ze dwora, to ino się mignęło, i jużcić go nie ma.— W jednéj jesteśwa okazyi, więc razem wspierajwa się, i dlatego przyszedłem do was, żebyśwa razem z prośbą o jaką ćwiartkę poszli do dworu, bo i cóż my chudziaki poczniewa?

—„Ha!“— odrzekł Bąbała, oganiając muchy z łysego swego czoła—„mój kumie, dobrze mówicie, ale widzicie, tak jakoś zawdy ino do dworu, to człek i nieśmie naprzykrzać się. Niedawno dali nam, choć człek i z dawnego jeszcze się nie wypłacił, a tu my znowu przyjdziewa.— To i cóż powiedzą?— Jużcić żeśwa hultaje, próżniaki, że ino na dwór oglądawa się, bo ta by nawet i na to wyglądało.— Więc widzicie, mój kumie, nie śmiem....“

—„I ja nie mam śmiałości sam, ale razem, to będzie nam raźniéj, przecieć we dworze naszym mają na wszystko wyperswadowanie.

—„Ani gadania, i szczekałbym gębą, jak pies, żebym, mój kumie, rzekł co naprzeciw temu.— Ale sprobójmy do Janka Goździaka, może on nas poratuje, niedawno jeszcze młócili u niego w stodole, to przecieć jaki korczyk zboża znajdzie się w komorze.—Użyczy, to dobrze, a nie, to pójdziewa do dworu,— Chodźwa kumie!“

I założywszy ręce w zanadrza, poprawiwszy pasów, bo na pustych brzuchach to się bardzo nie miały i na czem trzymać, obaj biedacy ruszyli przez błonie wprost ku chałupie Janka, która śliczniutko ubielona pomiędzy różną drzewiną, co ją do połowy prawie zasłaniała, wyglądała jak młoda dziewucha, gdy w bieli i w kwiatkach na głowie idzie na nabożeństwo do kościoła.

Gozdziaka zastali przy ulach.— Był to już niemłody człowiek, tak po pięciu krzyżykach. —Włosy siwe ale gęste, jakby od młodości żadnego z nich nie brakowało, rozdzielone na czole, spadały mu gładko aż na ramiona, a choć ubrany był w płócienną kamizelę i w kapelusz prosty, słomiany jak wszyscy inni chłopi, z oczów mu jednak patrzyła, jakby hardość, jakby dumność jaka, bo i prosto się trzymał niby chojak w lesie, i mówił wolno, i tak wszystko do rozumu, że i maluśkie dzieckoby go zrozumiało.— Kto go jednak dobrze poznał, to zaraz zmiar-

kował, że to człowiek bardzo potulny, i że sercosko strasznie ma poczciwe i miękkie, ale tylko dla dobrych.

Kiedy pies szczeknął poczuwszy obcych, obejrzał się, wyprostował, i uspokoiwszy psa ujadającego, podszedł ku wchodzącym w podwórko włościanom.— Zmiarkował on zaraz, że pewno obadwa przyszli do niego po jakiéj nagłéj potrzebie, bo ktoby w powszedni dzień chciał mitrężyć, ale nic nie rzekł, tylko odpowiedziawszy na *pochwalonego*, czekał, co mu oni sami powiedzą.— Chłopiska się kręcili, napoczynali o pogodzie, o deszczu, o tem, owem, ale jakoś im nie szło składnie, bo zawsze w myśli mieli swój interes, i z prośbą o pożyczkę, to się nigdy nie ma wielkiéj śmiałości.—Więc pobąkawszy troszkę Wójciech Gajda wydobył zpod poły flaszkę z wódką, i rzekł:

—„Mój Janie, żebyście nam dali jakiéj miarki, to byśwa się napili, bo tak to jakoś nijako....

„A jużcić— a jużcić“— potwierdził Bąbała i klapnął w łyse czoło od much, że aż się w podwórku rozległo.

—„Ale widzę, mój Józefie“— odezwał się na to Goździak—„że jakoś czupryny nie załujecie, bo tak walicie po niéj...

—„Ej! widzicie, to z frasunku, bo nie dość, że człowiekowi bieda dokucza, jeszcze te bestyje szmyrzą i spokojności nie dadzą.

—„Biéda mówicie, a i cóż to za bieda?— zapytał Goździak.

—„Juźcić przednowek, mój Janie, ale dajcie no miarki, po kieliszku to człek trocha zdarnieje.“

—„Ej! moi sąsiedzi“— odezwał się Goździak, „nie obrażalibyście Pana Boga, bo kogo stać na wódkę, toć mu widać na niczém nie brakuje, a wy biedujecie....

Oba chłopiska zaraz zmiarkowali, do czego to Goździak zrobił taką przytyczkę, więc troszka zapomnieli języka w gębie, przestąpili z nogi na nogę, podrapali się w głowy, i dopiero po chwili odezwał się Bąbała:

—„Mój Janie, przed wami człek się nie zakryje, i dlatego powiem wam po szczerości, że my tu przyszli po interesie, żebyście nas korcem żyta poratowali.— Do siewu żyto wam oddamy, a co prowizyi, to wam damy......“

—„Moi sąsiedzi, o tem to późniéj pogadamy“— przerwał Goździak—„a teraz powiedzcie mi, zkąd się wy u mnie zboża spodziewacie, i jeszcze na pożyczenie?— Przeciecż ja taki gospodarz, jak każdy, gruntu mam tyle, co każdy z was—jedne płacę podatki, czynsze, jednę mam robociznę;— wam nawet nie wystarcza, a mnie ma zbywać.“

—„Jak tam robicie, mój Janie, ja tego nie wiem dokumentnie, dosyć że we wsi mają was wszyscy za najbogatszego, i nie chybiają wcale.— Ale temu nie dziwota, bo kiedy u nas na polu kłosek od kłoska o pół staja drogi, u was zboże nikiéj las, że i wąż bez niegoby się nie przecisnął.“

—„A tak, a tak,— potwierdził Wojciech— „profit więc macie we wszystkiem dubeltowy, to i cóż dziwnego?“

—„Do tego, mój Janie, co ino zamyślicie wszystko wam idzie ręką,—u was i zboże i ziemniaki piękniejsze, i bydło okaźniejsze i mleczniejsze od naszego, i świnie paśniejsze, gęsi, kaczek, kur i ta różnéj takiéj gadziny, to trudno prawie zrachować, ot mój Janie, wszystko się wam wiedzie, co ino zamyślicie i juścić, a człek stara się, pracuje, zabiega, nie hultai, ściska wszystko jak może, a równie ciężko i ciężko, i bez pół nawet tego nie ma, co u was.“

—„Oj! prawda, prawda— potwierdził Bąbała, a Janek sięodezwał.

—„Moi sąsiedzi, nie sprzeciwię się waszéj gadce, bo nikt wam ani próżniactwa, ani hultajstwa zadać nie może, ale powiem wam tak po przyjaźni, po katolicku, że gdybyście chcieli, to i wam wszystkoby się tak wiodło, jak mnie, bo Bóg przenajświętszy“— i przy tych słowach Janek uchylił kapelusza i skłonił głowę ku ziemi—„bo Bóg przenajświętszy, moi ludzie, ten nasz wspólny Ojciec nie jest takim ojcem dla nas, jak się to często między ludźmi zdarza, co jedno dziecko bardzo upodoba sobie, drugie mniéj, a inne najmniéj, i wedle tego jednemu daje wielkie bogactwo, a drugiemu wielką biedę— ino wszystkich nas jako swoje dzieci kocha jednako, i jednako rozdziela swoje dary.— Ot na ten przykład: nas tu jest dwudziestu gospodarzy, mamy role jednakie i pracujemy w nich na kawałek chleba.— Żeby zarodziły doprawiamy je, siejemy, a Bóg słonkiem dogrzewa, deszczem i rosami odwilża, wiatrem obsusza z mokrości, a śniegiem w zimie okrywa, żeby oziminy nie wymarzły,— bo bez tego wiecie, że nic się nie zarodzi......

—„No juźcić ani gadania“— przerwał Bąbała—„bo jakby nie było deszczu, toby wszystko

słonko spaliło — jakby znów nie było słonka, toby wszystko wyginęło od zimna.“

—„Dobrze mówicie, mój sąsiedzie,„— odezwał się znowu Janek—„ale widzicie, jak Bóg słonkiem świeci i ogrzewa, albo spuści deszcz z nieba, lub śnieg w zimie, to na nasze poławki wszystko idzie po równości, i mojemu polankowi tyla się dostanie ciepła od słonka, mokrości od deszczu i rosy, śniegu na pokrycie ozimin, co i waszym, więc jak u mnie się rodzi, tak samo i u was być powinno, a równie tak nie jest, bo u mnie w dubelt wszystkiego, a u was czasem brat brata nie urodzi, jak to mówią ludzie: *korzec wysiał, kopę zebrał, a kopa korzec dała.*— Więc powiedzcie mi, dlaczego to tak?—Wszakżeż jedno słonko jeden deszcz i rosę mamy dla siebie?

—„Albo my tam wiewa„- odrzekł Bąbała, pomyślawszy troszka—„starawa się przecie, jak można, a że wam Bóg lepiéj daje, jak nam, to wasze szczęście.“

—„Prawda, że od Boga mamy wszystko, ale widzicie, rola sameby chwasty z siebie wydawała, żebyśwa jéj nie doprawiali, nie gnoili, i i nie obsiewali.— Jakie więc wedle niéj robiewa obrządzenie, taki i profit mamy, i dlatego to u mnie się lepiéj wszystko rodzi, jak u was, bo ja i wedle uprawy, i wedle gnoju, siewu i wszystkiego lepiéj, jak wy umiem chodzić.

—„Ej! wybaczcie ta mój Janie“— odezwał się na to Wojciech Gajda, stawiając z hardością nogę na pięcie—ale się po próżnicy nie chwalcie, boście wy tak samo syn kmiecy, jak i my, więc to więcéj od nas nie znacie i nie umiecie.— A wreszcie, mój sąsiedzie, jeżeli nie lepiéj, to pewno nie gorzéj umiem od was każdą chłopską robotę z pługiem, z radłem, z bronami, z kosą, z sierpem, z cepami; to jakżeż?— to nie znam obrządku wedle gospodarstwa?

—„Mój Wojciechu“— odezwał się z łagodnością Janek, chociaż mu Wojciech nieladajako przymówił—„ot powiem wam krótko, że wy umiecie robić, ale nie wiecie, jak powinno być robione, żeby było jak najlepiéj.— Ja widzicie umiem robić, i wiem jak powinno być robione, bo mnie nieboszczyk stary dziedzic, świeć Panie nad jego duszą, razem ze swoim synem, a dzisiejszym naszym panem oddał do takiéj szkoły, co uczą gospodarstwa, i potem obwoził po różnych stronach, żebym przypatrował się, jak tam kaj co robią.— Otóż *bez* to, nauczyłem się nietylko robić, ale jak robić, żeby było dobrze, i dla tego u mnie wszystko jest lepiéj, niż u was, bo wedle wszystkiego u mnie lepsza jest robota.“

—„No—no“— kiwając głową odezwał się Bąbała— wszystko to jakoś mi się nie chce pomieścić w głowie......

—„To siądźmyż moi sąsiedzi, a ja wam to dokumentniéj przełożę“—przerwał Janek, i gdy zasiedli na ławce, mówił daléj:— Otóż jeżeli Bóg życia i zdrowia pozwoli, to wam popóźniéj będę mówił o wszystkiem, i o uprawie roli, i o zbożu, warzywach, różnych trawach na pasze, i o bydle, drobiu i trzodzie, a teraz żebyście pomiarkowali, dlaczego ja siebie w gospodarstwie nad was wynoszę, to ino pogadam z wami troszkę o gnoju.

—„Ej! mój Janie“— przerwał znowu Bąbała—„przecie my niemaluśkie dzieci, znawa gnój dobrze, i wiewa, co on znaczny w gospodarstwie.“

—„A ja wam powiadam mój sąsiedzie“— odezwał się Janek—„że nie znacie go dobrze, bo byście się z nim zupełnie inaczéj obchodzili, ot jak ja, nie chwaląc się.— Was zaś nawet nie zdejmie ochota zobaczyć, jak to ja se radzę z gnojem, choć dziwicie się, że co rok, dwa i trzy razy tyle pola ugnoję, co z was każdy.—A zkądże u mnie tyla się gnoju bierze?

—„Jużcić z inwentarza“— odrzekł Wojciech—„macie dwa razy tyle, co drudzy.“

—„Bo mam paszę, moi sąsiedzi, pasza daje gnój, gnój żyzność gruntowi, żyzność daje zboże, a ze zboża są pieniążki.— Więc gnój widzicie, to jest wszystko w gospodarstwie, i jak każde bydle, a nawet nieprzymierzając człowiek, bez pożywienia i posiłku coraz bardziej nędznieje i wreszcie traci życie, tak i ziemia ciągle obsiewana, a nie gnojona, czyli zasilona, jałowieje, i potem nawet i trawki z siebie wydać nie chce.— Gnój więc, moi ludzie, trzeba bardzo szanować, i nietylko starać się, żeby go było jak najwięcéj, ale żeby był przytem i jak najlepszy, ja uczyłem się kiedyś tego......“

—„Ej! mój Janie“— przerwał Bąbała—„już ta tak bajecie, że was ciężko słuchać, boć to nie słuchane rzeczy, żeby się jeszcze obrządku wedle gnoju uczyć, wedle takiéj marności..... durzycie nas i juścić.

—„Nie, mój Józefie, nie durzę“— odrzekł z dobrocią Janek, wszystkiego się na świecie trzeba uczyć, więc i gospodarstwa. Dlatego też żeście się nigdy nie uczyli gospodarstwa, ino robo-

ty z pługiem, z radłem i ze wszystkiem innem, a to jeszcze nie jest gospodarstwo; ja zaś uczył się i gospodarstwa i roboty, to u mnie, Boga chwalić, nie ma nigdy przednowku, i kiedy u was i ziarnka w komorze na chleb nie znajdzie, to u mnie pełne beczki żyta, grochu, pszenicy.— Moi sąsiedzi, gospodarstwo to tak jak każda inna robota.— Jak czego nie umiesz, na ten przykład z siekierą przy ciosołce, albo z młotem w kowalstwie, to ci nic nie idzie składnie, dziobiesz tą siekierą, albo bijesz młotem, a tu i roboty nie ubywa, i jeszcze nieraz z siekierą pójdziesz albo za głęboko w materjał i zepsujesz go, albo w nogę, i okaliczysz się na wieki, albo wreszcie żelazo przepalisz, i tak różnie.— Nie nauczny więc człek i namorduje się po próżnicy, i czasem szkody sobie narobi, i roboty niewiela ubywa — a człek sposobny, za pacierz i więcéj i lepiéj zrobi, jak taki, co nie ma w téj robocie żadnego składu i nauki.— To wszystko przymierzyć możecie i do gospodarstwa, bo chociaż bez woli Boskiéj i rola nie zarodzi, i zboże plonu nie da, i bydełko się nie będzie wiodło, zawsze jednak bez rozumnego obrządzania się w gospodarstwie, niewiele człek zbuduje, ot jak wy nie przymierzając, co rok rocznie chodzicie do dworu o zapomogi na przednowku.— Bo gospodarstwo, moi ludzie, to tak jak wiatrak, co od wiatru obraca się i miele zboże; a gospodarz to tak jak młynarz, co choć zna wszystko jak wypada, nie zrobi jednak ani mąki ani kaszy, jeśli na świecie nie ma wiatru.— Ale i wiatr nie pomoże, choćby dął bez ustanku, jeśli młynarz nie umie się obracać z wiatrakiem, bo jeśli wiatr wieje z południa, a on wiatrak nastawi na północ, to ino sobie głowę będzie łamał po próżnicy, bo wiatrak ni razu się nie obróci.—Kto mądry, to się ino rozśmieje z głupiego młynarza, i nie powie, że wiatr nijaki, ino że młynarz nie umie się wedle niego zarządzić.— Tak samo też jest i z gospodarstwem.— Żeby ziemia rodziła i dawała ludziom zboże na chlebuś, Bóg dał bydlęta, żeby z nich był gnój na pożywienie roli, dał ciepło od słonka, żeby zboże i trawy mogły rosnąć, i dał deszcz w lecie a śnieg w zimie, żeby rola miała wilgoć, czyli że dał to wszystko tak dla gospodarstwa, jak wiatr dla wiatraka.—Który więc gospodarz ma rozum i naukę, to sobie radzi z gnojem, żeby go przysparzać i nie marnować, radzi sobie ze słonkiem, żeby niebardzo paliło, i radzi se z wilgocią, żeby jéj nie było ani zamało, ani zawiele, ino w samą miarę.— Wtedy przy pomocy Boskiéj musi mu się wszystko dobrze szykować, bo on z gospodarstwem tak się stosuje do gnoju, do słonka i do wilgoci, jak dobry młynarz do wiatru — więc uczenie się gospodarstwa jest potrzebne, żeby wiedzieć, jak się do takich rzeczy stosować, bo gospodarz co nic nie umie, to będzie obrządzał się tak, jak ten głupi młynarz co nastawia wiatrak na północek, choć wiatr wieje zpołudnia.

—„Ej! mój sąsiedzie"— odezwał się Bąbała —„ale tu przesadzacie, bo o takiego głupiego młynarza to trudno."

—„Ja wiem, mój Józefie, że trudno, i mówię o nim ino w przykładce, boć tego i maluśkie dziecko nauczyłoby się, że wiatrak trzeba do wiatru skrzydłami obracać.— Ale o gospodarzy takich, to nietrudno, bo w gospodarstwie wiela ino jest robót, to z każdą trzeba się umieć tak szykować, żeby i słonko i deszcz i śnieg i gnój dobrze, a nie źle wypadły dla zboża, co na roli siejemy.— Kto więc umie się do tego z robotami, szykować, to mu się musi rodzić, i dlatego choć na moje i wasze poła nki jednako słonko świeci, jeden deszcz pada, i choć wasze i moje bydlęta jednako gnój robią, równie u mnie, że więcéj w gospodarstwie znam jak wy, i więcéj mam gnoju, i lepszego, i lepiéj mi się rodzi, jak u was.— A że czego człek nie umie, tego się może nauczyć, aby ino miał chęć po temu, więc i wy możecie się nauczyć tak gospodarstwa, jak się go ja przy łasce nieboszczyka dziedzica nauczyłem!"

Przy tych słowach oba słuchający poskrobali się w głowę, bo już nie było co na to odpowiedzieć, a Józef Bąbała po chwili odezwał się.

—„Dobrze mówicie mój Janie, i jużcić musi być w tem wasza prawda, ale przełóżcie no nam, jak się to należy szykować z robotami do słonka, do deszczu i do wszystkiego, co Bóg daje, żeby rola rodziła?— Bo jakoś nie mogę tego dobrze pomiarkować."

—Moi sąsiedzi"—odrzekł Janek„ o tych rzeczach to gadka strasznie długa, i tak na poczekaniu nie można jéj wyprowadzić.— Ale jeżeli nie wagujecie się gadki takiéj od staréj mojéj głowy, to przychodźta do mnie każdéj niedzieli po południu, a wiela, bardzo wiela ciekawych dowiecie się rzeczy.— A teraz przyjdźcie do mnie z workami, to wam użyczę po pół korczyku, bo wiem, że wy poczciwi ludzie, to oddacie,

a wódkę schowajcie, bo ja na waszą prowizją nie łaknący, i pożyczam wam, jak wypada sąsiadowi dla sąsiada, a w prowizji, to wystarczy dla mnie dobre wasze słowo, i opieka Boga, naszego Ojca niebieskiego."

Chłopiska jednak duchem prosili Janka, żeby nie gardził ich poczęstunkiem, i póty molestowali, że Janek nie mógł się już więcéj sprzeciwiać, i przyjął kieliszek, ale z takiem umówieniem się, że nigdy do niego z wódką nie przyjdą.— Pogadawszy jeszcze troszka, rozeszli się z wielką radością, i przyrzekli, że na niedzielę zejdą się, żeby nauczyć się, jak roboty szykować w gospodarstwie.

Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem.

Przy ulicy Browarnej w Warszawie, na rogu jednego domu zebrał się tłum ludzi, a każdy pociągnięty ciekawością, dopytywał się innych: co się to stało nowego? I każdy prędko się przekonał, bo jęk choréj kobiety słychać było zdaleka.—„Ratujcie, kto w Boga wierzy, bo umrę z boleści" krzyczała kobieta; każdy z przechodzących chciał przynieść ulgę choréj, lecz ból nie uspokaja się słowem pociechy.— „Cóż z nią zrobimy" odezwała się jedna kobieta, trzeba ją zaprowadzić do szpitala, idźcie więc moja kumo do cyrkułu, po kartkę, a ja tu przy choréj zostanę. Ale cóż, biedna kobieta już sinieje z boleści; trzeba ją jak najprędzéj zawieść do doktora, —a po tych słowach spostrzegłszy sanki stojące przed domem, zbliżyła się do nich owa poczciwa kobieta, mówiąc—„Gospodarzu! przez litość, dla prędszego ratunku zawieście tę nieszczęśliwą do szpitala, Bóg za to wam odpłaci, a tymczasem macie na piwo za waszą fatygę."—Nie powiozę, odezwał się Szymon, ja nie tutejszy, przyjechałem trzy mile drogi, koniska zmęczone potrzebują wypoczynku.

—„Ależ to niedaleko, nie zmęczą się twoje konie, gdy przewiozą kilkadziesiąt kroków chorą kobietę—pamiętajcie, że Bóg może was ukarze za nieużytość—wszak, może i wy macie żonę, dzieci, i potrzebujecie pomocy drugich. Szymon głuchy był na prośby i pogrożki, obojętnem okiem patrzał na umierającą— i niedługo znudzony prośbami, ruszył z miejsca, i podjechał pod szynk na dłuższy wypoczynek. A tymczasem znalazły się miłosierne osoby, co odprowadziły chorą kobietę, niosąc prawie na rękach do szpitala. Szymon zjadłszy obiad, i posiliwszy się dobrze wódką, zawrócił się drogą ku domowi, i zaczął popędzać konie, bijąc bezustannie biczem. I też same konie, których żałował dać do zawiezienia choréj kobiety, tak pędził, że aż mu w drodze pokulały. Zajechał przed dom dość późno, i zdziwiony zobaczył światło w oknach o niezwyczajnéj porze; wchodząc do izby, zapytał--„A wy co robicie tak do późna?"—„Co my robimy? powtórzyła zapłakana kobieta, spojrzyjno na Antka, wszakci on już ledwie żyje, ciągle a ciągle przewraca tylko oczyma, a taki sztywny i zimny!"— Cóż mu się to stało, zdrowiuteńki był, jak wyjeżdżałem. Czemuście nie posłali do Jabłonnéj po Michałowę, wszakci ona taka znachorka, od razuby pomogła."

—„A kogóż miałam posłać, ja od izby i chorego dziecka odejść nie mogłam— a ratowałam, jak mogłam, to ogrzewałam —to karmiłam, a on jak krzyczał, tak krzyczał.— Teraz już się nawet nie odzywa."— Nie umieta sobie radzić w niczem, Wojtek byłby pojechał, gdybyś go prosiła."— Wiele to razy Wojtkowi odmówiłeś, kiedy on prosił o małe przysługi. Twoja to Szymku wina, że nikt dla nas nic nie zrobi; bo ty z nikim nie żyjesz w zgodzie— a jakże tu żądać pomocy od innych. Szymon słuchając żony, przypomniał sobie ową chorą kobietę, i żal mu się zrobiło— bo karę Boską widział na dziecku. Po krótkim namyśle odezwał się Szymon—„Słuchajno Anko! choć to późno, ja pojadę zaraz do Jabłonny"—Spieszcie, spieszcie, bo już ledwo się w nim duch kołacze.--Wybiegł Szymon na podwórze, lecz po chwili wrócił, z rękami załamanemi i z krzykiem bolesnym.

—„Oj kiedy bieda, to bieda, konisko zdycha, a drugi zakulał zupełnie."— I dziecko życie kończy, nie macie już po co jechać,—odpowiedziała Szymonowa, zanosząc się od płaczu.

Wtem słyszeć się dał na podwórzu turkot wozu. Ktoś przyjechał— któż to, i tak późno?

Oto poczciwy Wojciech, włościanin téj saméj wsi, widząc nieszczęście w domu Szymona, lubo mu ten często pomocy i usługi sąsiedzkiéj odmawiał,— zaprzągł prędko swe konie, pojechał do miasteczka, i w téj właśnie chwili przywozi lekarza.

Przybyły doktor wziął się troskliwie do chorego i niebezpieczeństwo usunął.

Jakoż z czasem Antek przyszedł do zdrowia;—a gdy upokorzony Szymon ze łzami dziękował za to poczciwemu Wojciechowi;

„Nie dziękujcie mi tak, kochany sąsiedzie, odrzekł,— cóżem tak wielkiego zrobił, to było moją powinnością dla was; wszak to ksiądz Pleban co niedziela prawie z ambony uczy.

„Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem.“

Wieloryby.

—

Pod nazwiskiem wielorybów rozumieją takie zwierzęta, które z kształtu swego bardziéj do ryb, jak do zwierząt ssących są podobne; ale ponieważ mają krew czerwoną ciepłą, oddychają płucami i karmią młode mlekiem, przeto słusznie do zwierząt ssących się liczą,

Wieloryby nie mają zębów, ale zamiast nich wyższa szczęka wyłożona jest wpoprzek na podniebieniu liściami, a raczéj szczapami rogowemi, z których mamy znany w handlu *fiszbin*. Takich szczap, bywa do 700 różnéj wielkości, niektóre do 15 stóp są długie. Głowa wielka trzecią część wielkości wieloryba wynosi, w tyle jéj wznosi się garb, a w tym 2 otwory nozdrzy czyli pryskawki 3 cale obszerne. Otwory te służą do węchu, do wciągania powietrza i do wypryskiwania zagarnionéj z pokarmem wody. Woda temi pryskawkami wznosi się czasem do 15 łokci w górę, i tym sposobem żeglarze zdaleka poznają wieloryba. Zwierze to jest największém zpomiędzy ssących, dorasta 60 łokci, a cały waży do 200000 funtów.

Przy takim ogromie ciała, gardło wieloryba jest szczupłe, i zaledwie olbrzym ten może drobne ryby połykać. Rzeczywiście też pożywieniem wielorybów są drobne ryby, jakoto śledzie i różne morskie stworzenia, zwane mięczakami i skorupiakami, które wieloryb w paszczę swą wraz z wodą zagarnąwszy, rozciera szczapami fiszbinowemi i połyka, a wodę zabraną pryskawkami w górę wyrzuca.

Kolor wieloryba jest aksamitno-czarny, siwy i białawo-marmurkowy, pod spodem zupełnie biały. Skóra na ciele gładka, pod nią leży warsta tłuszczu od 10 do 20 cali gruba, jeden wieloryb może dostarczyć 120 beczek tłuszczu, z którego wytapia się do 30 beczek tranu; można też z kości wieloryba wytapiać dobry tran. Kości są twarde, podobnie jak u innych ssących, ale są dziurkowate jak gąbka. Dwie ogromne kości podpierające wargi stanowią szczękę dolną. Te kości dawniéj udawano za żebra wielkoludów, i zawieszano w przedsionkach kościołów i t. p. Jedna taka kość umieszczona jest w sieni gabinetu Zoologicznego Warszawskiego. Ogromne to zwierzę pływa bardzo szybko, do czego mu ogon jego jest bardzo pomocnym, ma w nim wielką siłę i broni się wrazie niebezpieczeństwa. Co kilka minut wypływa on na wierzch dla wciągnienia powietrza. Mięso wieloryba jest tłuste, z niego to i z tłuszczu będącego pod skórą wytapiają tran, używany od mieszkańców krajów północnych na pożywienie; u nas zaś używają tranu do smarowania skór, aby nieprzemakały od deszczu. Używają też tranu w niektórych słabościach, do smarowania ciała i do picia; lecz w tym celu przyjemniejszy jest, a mianowicie do brania wewnątrz tran rybi, wytapiany z wątroby Dorsza, który żyje w morzach północnych i jest prawdziwą rybą.

Połów wielorybów jest bardzo korzystny i odbywa się na morzach lodowatych północnych i południowych. Przedtem sami Holendrzy trudnili się tym połowem, późniéj wyprawiać się poczęli ludzie innych narodów nadmorskich. Z Ameryki północnéj i Anglii, kilkaset statków corocznie wypływa na morze, dla łowu wielorybów. Smieli rybacy wypływają na łodziach a napotkawszy wieloryba, uderzają nań ostrem żelazem (harpunem zwanem), które umocowane na linie kilkaset sążni długiéj, zatapiają w wieloryba, tak ugodzony zanurza się w wodzie, lecz po chwili wypływa dla odetchnienia powietrzem. Raz ugodzony wieloryb, jeżeli harpun dobrze w nim utkwił, już jest pewną zdobyczą, bo jakkolwiek zanurza się i daleko odpływa, jednakże łowcy w ślad za nim płynąc na łodzi, skoro się tylko na wierzch wody ukaże, powtórnie rażą harpunem aż do zupełnego zmordowania go, co po upływie krwi zwykle w parę godzin następuje. Nie zawsze jednak łatwy jest połów wieloryba, zraniony broni się rozpaczliwie, i zdarza się że silném uderzeniem ogona łodzie, na których rybołowcy się znajdują w drobne kawałki roztrzaska, dlatego wielką odwagę i ostrożność przy połowie jego zachować należy.

W drukarni J. Unger. — Wolno drukować.— Warszawa d. 3 (15) Maja 1856 r. — Starszy cenzor F. Sobieszczański.